NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 17 Katowice, dnia 22-go kwietnia 1928

Niedziela druga po Wielkanocy.

LEKCJA

z listu św. Piotra Apostoła.

Najmilsi! Chrystus ucierpiał za nas, zostawując wam przykład, abyście naśladowali ślady Jego. Który grzechu nie uczynił, ani znaleziona była zdrada w uśmiech Jego; który, gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył; gdy cierpiał, nie groził, lecz się poddawał niesprawiedliwie sądzącemu; który sam na ciele swem grzechy nasze nosił na drzewie, abyśmy umarłszy — grzechom, żyli sprawiedliwości; którego sinością jesteście uleczeni. Boście byli jako owce błądzące, ale teraz jesteście nawróceni do Pasterza i Biskupa dusz waszych.

EWANGELJA

u św. Jana, rozdział X., wiersz 11—16.

W on czas: Rzekł Jezus do faryzeuszów: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz życie własne daje za owce swoje. Lecz najemnik, i kto nie jest pasterzem, do którego owce nie należą, na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka; wilk zaś porywa i rozprasza owce. Najemnik tedy ucieka, bo jest najemnikiem i nie zależy mu na owcach. Jam jest pasterz dobry, i znam Swoje, i one Mnie znają; podobnie, jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. To też i życie Swoje kładę za owce Swoje. Mam ja też inne owce, które nie są z tej owczarni — i te muszę przyprowadzić; one także słuchać będą głosu Mego, i stanie się jedna owczarnia, i jeden pasterz.

Na dzień św. Marka Ewangelisty.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział X., wiersz 1—9.

W on czas: Naznaczył Pan i drugich siedmdziesiąt dwóch; i rozesłał ich po dwóch przed sobą, do każdego miasta i miejsca, gdzie sam przyjść miał. I mówił im: idźcie: oto ja was posyłam, jako baranki między wilki. Nie noścież mieszka, ani torby, ani obuwia, ani żadnego w drodze nie pozdrawiajcie. Do któregokolwiek domu wnijdziecie, najprzód mówcie: Pokój temu domowi! a jeśliby tam był syn pokoju, odpocznie na nim pokój wasz; a jeśli nie, wróci się do was. A w tymże domu mieszkajcie, jedząc i pijąc, co u nich jest; albowiem godzien jest robotnik zapłaty swej. Nie przechodźcie się z domu do domu. I do któregokolwiek miasta wnijdziecie, a przyjmą was, jedźcie, co przed was położą, i uzdrawiajcie niemocnych, którzy w niem są, a powiadajcie im: Przybliżyło się do was Królestwo Boże.

NAUKA.

Przedmiotem dobrego pasterza jest to, że szuka zbłąkanych swoich owieczek. Nie dosyć, że dobry pasterz położył życie swoje za owce swoje, że je we krwi swojej obmył i na najżyźniejsze poprowadził pastwisko, ale nadto szukał on z całem poświęceniem zbłąkanych owieczek i sprowadził je do owczarni swojej.

I z was, Najmilsi! każdy w szczególe i pojedyńczo, doznał na sobie także tej troskliwej pasterskiej opieki Kościoła, nawracającego zbłąkane owieczki... Odkąd ochrzeni zostaliśmy, należymy do owczarni Jezusa Chrystusa; lecz niestety nie wszyscy słuchaliśmy głosu dobrego pasterza i dlatego pobłądziliśmy. I może długo błąkaliśmy się po rozdrożach, po nad przepaściami, a może wpadliśmy już w otchłań grzechu śmiertelnego i staliśmy się zdobyczą wilka piekielnego; lecz dobry pasterz, który nie przestaje na potulnych, głosu jego słuchających owieczkach, zostawia dziewięćdziesiąt dziewięć na puszczy i idzie za oną, co zginęła, aż ją znajdzie, a znalazłszy, kładzie na ramiona swoje i raduje się, a przyszedłszy do domu zwoływa przyjaciół i sąsiady, mówiąc im; radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę swoją, która była zginęła. Ten więc dobry pasterz Jezus Chrystus idzie za grzesznikiem, co się od niego oddalił i wabi go do siebie i przestrzega i chroni go wśród występnego jego żywota od najstraszliwszego niebezpieczeństwa, byle go tylko sobie pozyskał, bo nie chce śmierci jego, ale chce, aby się nawrócił i żył. On to bierze go potem na ramiona swoje, aby mu poranionemu ulżył w drodze nawrócenia się jego i ran mu jego nie rozjątrzył i niesie go pełen miłości, tę zgubioną owcę swoją, do domu, i wzywa teraz wszystkich domowników i przyjaciół swoich, aby się z nim razem cieszyli. I cieszą się oni z nim rzeczywiście, albowiem większa jest radość w niebie pomiędzy aniołami nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt i dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty.

O! ileż to razy nie szukał nas także ten dobry pasterz! Ileż razy nie brał już nas na ramiona swoje! Gdzież jest pomiędzy wami ten, któryby pieczołowitości i miłości jego pasterskiej nie doświadczył był na sobie w tym potrójnym jej kierunku. Odkupił on nas najdroższą swą krwią; dobry pasterz położył duszę swoją za owce swoje! Od młodości prowadził on nas zawsze na żyzne dla duszy naszej pastwiska i obsypywał nas dobrodziejstwy swojemi nawet wtedy, kiedy nas wiódł po drodze krzyża i cierpienia. I dziś także czuwa on nad nami i woła na nas i wabi nas do siebie i przestrzega nas; wcale się nie nuży w chodzeniu za nami i w zasłanianiu nas od wszelkich niebezpieczeństw i od sideł szatańskich.

Wszystko to dziś przypomina nam Kościół Boży, aby nas pocieszył, rozradował i jak najszerszą i najczulszą napełnił miłością i wdzięcznością ku najlepszemu pasterzowi naszemi Jezusowi Chrystusowi. Cieszymy się zatem dzisiaj serdecznie, że takiego mamy pasterza, który więcej łoży starania o jedną zbłąkaną owieczkę, niźli o wielu sprawiedliwych; aby zaś radość nasza była zupełną, bracia kochani! dozwólmy, by nas wszystkich co prędzej odszukał i nawróćmy się szczerze do niego w płaczu i narzekaniu za dawne przeniewierstwo nasze, i wytrwajmy odtąd wiernie przy nim i jego kościele aż do końca, byśmy zapewnili sobie żywot wieczny. Amen.

Córka Piłata.

Onego czasu, wielkorządca Damaszku, Klaudjusz Riksus, był wielce zasmucony. Jego piękna małżonka Popea, córka Piłata Ponckiego, który władał w Jeruzalem w imieniu cezara, została dotknięta straszną chorobą — paraliżem. Jej młode członki więdły powolnie, piękne ciało straciło swoją giętkość i ruchliwość i tylko w lektyce, otulona w aksamity i jedwabie, mogła podziwiać rozkoszne ogrody, które wieńcem otaczały miasto.

Już dwa lata minęły, jak ją nawiedziła straszna choroba i nie było żadnej nadziei wyleczenia. Napróżno małżonek jej sprowadzał z dalekich stron lekarzy, cudotwórców, uczonych, aby ją uleczyli sztuką swoją. Umiejętność ich, wysiłki, starania i doświadczenia okazały się bezsilnemi wobec uporczywej choroby, przykuwającej piękną Rzymiankę do łoża boleści.

Nakoniec przybył pewien pielgrzym z Jeruzalem i przyniósł wiadomość, iż zjawił się w ziemi judzkiej, cudotwórca, Jezusem Nazareńskim zwany. Dokonywa on cudów z chorymi; stawia na nogi paralityków, wraca im zdrowie i poprzednie siły, niewidomym wzrok przywraca a nawet umarłych wskrzesza.

Uradowała się tą wieścią Popea i zawołała:

— Udam się, udam się do tego cudotwórcy! Szczodrze mu zapłacę drogocennemi kamieniami, oddam mu swój cenny naszyjnik z zielonych diamentów, którego wartość jest większą od ceny pięciu miast judzkich, byleby tylko mnie uzdrowił.

Lecz pątnik jej powiedział:

— Przepiękna Popeo! To wszystko nic ci nie pomoże wobec Nazareńczyka. On sam chodzi obdarty i bosy, obcuje tylko z biedakami, pogardza wszelkiemi marnościami tego świata i choćbyś mu zaniosła te wszystkie bogactwa, nie zyskasz sobie jego względów.

— Cóż więc mam robić, aby mnie uzdrowił — zawołała zaniepokojona chora.

— Od chorych, którzy do niego przychodzą po zdrowie, żąda tylko on jednego, aby w niego uwierzyli.

Zdziwiła się Popea temi słowy, a potarłszy czoło białą ręką, na której błyszczały drogocenne ozdoby, zapytała znowu:

— Aby w niego wierzyć? A jak wierzyć?

— Wierzyć, że on jest synem Bożym.

— Synem Bożym? Tego ja nie rozumiem...

I długo jeszcze badała pielgrzyma.

Wiele dni i nocy Popea przepędziła na rozmyślaniach. A patrząc na swoje pokurczone członki w kwiecie wieku, zalewała się łzami, jak dziecię. Lecz w jej duszy coraz wyraźniej, coraz jaśniej zarysowywał się obraz tajemniczego, nieznanego cudotwórcy, który kazał się nazywać synem Bożym, i który może sprawiać cuda, przechodząc granice pojęć ludzkich, jednocześnie z tem powiększało się w jej sercu pożądanie powrotu do zdrowia, do sił młodości, jako też niecierpliwość spotkania się z tym cudownym — człowiekiem, gotowa jest uwierzyć w jego bóstwo.

— Jeżeli on duchem i siłą stoi tak daleko od ludzi, musi być bliskim bóstwa: tylko bogowie są tak wszechmocni, aby jednem spojrzeniem, jednem pomyśleniem uzdrawiać ludzi beznadziejnie chorych. Nasi bogowie nie chcieli mi pomóc — niech doświadczę więc siły tego Boga, którego Nazareńczyk zwie się synem.

I wiara rosła w jej duszy.

Popea postanowiła udać się do Jeruzalem, gdzie jak jej mówiono najłatwiej może spotkać Jezusa. Wiedząc jednakże, że mąż jej nie zgodzi się nigdy, ażeby ona, dumna i wysokiego pochodzenia Rzymianka, miała się zniżyć do prośby, wobec godnego pogardy, żydowskiego cudotwórcy, oświadczyła Klaudjuszowi, że chce odwiedzić ojca swego. To zachcenie, spełnienie, którego połączone było z takim utrudzeniem i męką, dla kobiety tak chorej, jak Popea, wprowadziło Klaudjusza w zdumienie.

Lecz jej prośby i nastawania były tak stanowcze, że w końcu nie mógł odmówić ukochanej, a tak chorej żonie, ułożył ją więc w bogatej wyłożonej puchem i jedwabiem kolasie, i wprowadził ją z najwierniejszymi sługami do judzkiej ziemi.

I po trzydniowej podróży drogą, która się wije po wschodnich pochyłościach gór Libańskich, pokrytych olbrzymiemi cedrami. Popea przybyła do judzkiej ziemi, a czwartego dnia koło południa, minąwszy na północ dolinę Jozefata stanęła w Jeruzalem.

Było to przed samą żydowską paschą.

Kierując się ku północnej bramie miasta, zobaczyła tłumy ludu wychodzące i oddziały rzymskiej konnicy. Cały ten tłum kierował się ku zachodowi, ku bliskiemu gołemu wzgórzu.

Popea patrzała na ten pochód nie rozumiejąc jego celu.

Przed samą bramą miasta spotkała na koniu setnika, który wraz z żołnierzami postępował za tłumem. Kazała się zatrzymać i zapytała setnika dokąd te tłumy idą?

— Na tem tam wzgórzu ukrzyżowanym będzie, osądzony na śmierć, burzyciel spokoju publicznego. Jezus Nazareńczyk! — odpowiedział on, kłaniając się nisko świetnej córce Piłata.

— To być nie może! Nie może — zawołała przerażona Popea — Niech wstrzymają wykonanie wyroku! żądam tego.

Lecz oficer oświadczył, że tylko Piłat może zmienić swój rozkaz. Lecz zanim mógłby się otrzymać to odwołanie, przestępca zostanie już ukrzyżowanym.

I dziwił się on żalowi i współczuciu Popei, która okazywała nędznemu burzycielowi, wydanemu na śmierć przez sam naród żydowski.

A Popea, wzburzona i zrozpaczona, zwróciła oczy ku Golgocie, gdzie się przygotowywało coś strasznego.

— Zanieście mnie tam prędzej! On nie powinien umrzeć! — wołała na swych ludzi. I prędko znaleziono lektykę, gdyż do szczytu kamienistego wzgórza, kolasa dójść nie mogła.

Kiedy dosięgnięto szczytu, Popea z przerażeniem spostrzegła trzy stojące krzyże, a na każdym z nich wisiał rozpięty człowiek. Wyrok już spełniony.

Na rozkaz Popei usunięto tłumy, otaczające krzyże, wrzeszczące i naigrawające się z ukrzyżowanych i postawiono lektykę w bliskości. Pod środkowym krzyżem klęczała skulona niewiasta żydowska, a obok niej dwie inne, zalane łzami, z rękami załamanemi z boleści, wpatrywały się w męczennika, ktoremu z ran na rękach i nogach ciekły czerwone strugi krwi.

Popea milcząca, nieruchoma, utkwiła z boleści oczy w cierpiącem licu Chrystusa, w którego łagodnych rysach wyryte były straszne męki ukrzyżowania.

Z twarzą zalaną łzami, razem z drugiemi niewiastami patrzała na ukrzyżowanego. Biedna Popea starała się spotkać wzrok jego, który pomimo strasznych, nie dających się, opisać cierpień cielesnych, przez mgłę niewymownego bólu, świecił zorzą słodyczy i łagodności. Lecz oczy Chrystusa, utkwione w płaczącą matkę, ani razu nie zwróciły się ku Popei

— Zbaw mnie! — szepnęła, nie spuszczając wzroku z twarzy Chrystusa.

Nagle łagodne spojrzenie Chrystusa przeniosło się z matki na Rzymiankę. I wzrok Rzymianki i Chrystusa spotkały się. I przez mgnienie oka spoglądał on na nią tak łagodnie, boleśnie i głęboko!... I naraz pod siłą tego wzroku, który przeniknął, jak — iskra niebiańska, całe jej jestestwo, poczuła ona jakieś głębokie, wewnętrzne wstrząśnienie i coś nowego słodkiego dobrego napełniło jej duszę i ciało...

Piłat oczekiwał na chorą swą córkę na najwyższym stopniu marmurowych schodów swego pałacu, uprzedzony o jej przybyciu, pełen zdumienia i trwogi, gdyż cel jej podróży był mu nieznany.

Widząc ją zbliżającą się w kolasie z twarzą rozżaloną, wyciągnął ku niej ramiona, aby gdy ją wniosą na górę mógł ją przycisnąć do serca.

Lecz zdumiony Piłat zobaczył, jak Popea sama wyszła z kolasy, ruchem nakazującym oddalając jego sługi, którzy jej ofiarowali złocistą lektykę i sama wstępowała na marmurowe schody, krokiem lekkim, jak gazela Libanu...

A rzuciwszy się na szyję osłupiałego z podziwu ojca, zawołała szlochając:

— Ojcze! Ty dziś Boga zabiłeś!...

Chrystus w Azji wschodniej.

Według doniesienia w Bangkok w Siamie, dramaturg japoński, Koroko Sato napisał dramat p. t.; „Jezus Chrystus“, który wystawiono właśnie w teatrze Hongo w Tokjo. Znamienne to dzieło daje buddyjską koncepcję Odkupienia Chrystusowego. Autor i aktorzy są poganami. Sato zaznacza, że nie chce obrazić Chrystjanizmu, ale pozwala sobie na dowolności bez końca w traktowaniu Ewangelji. Dwunastu Apostołów przedstawia jako grupę młodych, hałaśliwych ludzi, którzy pod nieobecność Pana, oddają się atletycznym zabawom i innym rozrywkom, uliczników. Pewne słowa, które poeta włożył w usta Marji Magdaleny, spowodowały, że wydawca czasopisma „Siam Observer“ w Bangkok założył protest, przeciwko dramatowi. Marja Magdalena przedstawiona jest jako światowa dama, niebardzo religijna.

Według doniesień z Kobe w Japonji, dyrektor teatru Dawenport w New Yorku stara się o pozyskanie tego dramatu dla Ameryki.

FELIKS KOPERA.

O artystycznych upodobaniach królów polskich.

—o— (Dokończenie).

Władysław IV był także mecenasem sztuki. Lubował się on w architekturze, głównie świeckiej, w rzeźbie i malarstwie. Budował pałace, postawił ojcu piękny pomnik w Warszawie na krakowskiem Przedmieściu. Ozdobił rzeźbami kaplicę św. Kazimierza w Wilnie i Wazów w Krakowie. Zatrudniał nietylko włoskich, niemieckich, ale także wybitnych flamandzkich malarzy. Odwiedził Rubensa w czasie swej podróży po Flandrji i pozował mu do pięknego portretu, znajdującego się niestety, nie w Polsce, ale w zbiorach prywatnych w Genui. Powszechnie znany jest ten portret z współczesnych rycin flamandzkich. Widocznie król Władysław IV lubił ryciny. Zatrudnia znanych rytowników, przedewszystkiem Hondiusa, a także Falcka. Na jego dworze bawią artyści flamandzcy, między innymi Dankerts de Ry. — Ceni król jednak i włoską sztukę. Z niemieckich malarzy miał na służbie swej Bartłomieja Strobla i gdańszczanina Salomona Wagnera, z Polaków Jana Tretkowskiego, zwanego Prycjuszem.

Jan Kazimierz swego miłośnictwa do sztuki nie zaznaczył.

Zato Jan III Sobieski sztuką zajmował się bardzo. Ciągnęła go architektura, prowadził budowę Wilanowa i czuwał nad jego upiększeniem, oraz upiększeniem zamku w Żółkwi i domu swego we Lwowie. Pracowali dla niego znakomity rzeźbiarz niemiecki Andrzej Schlütter i rzeźbiarz włoski Maderni; zatrudniał wielu malarzy: Włocha Altomontego, Niemca Rugendasa, Francuzów; Stefana de la Hire, Aleksandra Desportesa, nadto bawił chwilowo na dworze króla cały szereg wybitnych artystów. Z polskich malarzy prócz Aleksandra Tretki pracował dla niego Eleuter Siemiginowski.

Ale na szczególniejsze uznanie zasługuje fakt, że Jan III, założył szkołę malarską w Wilanowie, „dla sławy swego narodu, aby się swojscy ludzie w tym kunszcie ćwiczyli“, jak powiada współczesny pisarz.

August II i August III byli miłośnikami sztuki pierwszorzędnymi, lecz działalność ich naznaczyła się w Saksonji wspaniałemi dziełami rokoka, słabym zaś tylko refleksem w Polsce.

Ostatni król polski Stanisław August lubował się we wszystkich dziełach sztuki. Bezpośrednio stykał się z architektami, rzeźbiarzami i malarzami, Najwięcej lubił architekturę, a budowa Łazienek, Zamku warszawskiego oraz inne architektoniczne przedsięwzięcia zajmowały go bardzo. Dbał o rzeźbę i ozdabiał rezydencję swą w Łazienkach posągami. Sprowadził malarzy Włochów-kosmopolitów, skąd tylko mógł, a więc Canaletta, Bacciarellego, Lampiego, Grassiego, Szweda Krafftea, Francuza Marteau. Utrzymywał stosunki z najwybitniejszymi artystami zagranicy. Ciągle myślał jednak o narodowej sztuce. Zdaje się mu, że gdy każe sceny z historji polskiej malować lub rzeźbić popiersia sławnych polskich ludzi, to narodową sztukę stworzy. Czuje jednak, że to nie dosyć i zakładu szkołę malarską na zamku i dąży do wykształcenia polskich malarzy. Urzędowa ta jednak szkoła nie dała nadzwyczajnych wyników. Wychowaniec króla Smuglewicz nie wybił się na wielkiego polskiego malarza. Tylko Kucharski, który nie chciał królowi malować historycznych obrazków i wolał pozostać we Francji, zdobył sobie w Paryżu sławę zdolnego miniaturzysty. Najbardziej utalentowanym z uczniów szkoły królewskiej okazał się Woyniawski. Dążność króla jednak do stworzenia narodowego, historycznego malarstwa nie była bezowocna. Aczkolwiek obrazy, które malować kazał, nie mają wybitnej wartości, jako obrazy historyczne, są one jednak pierwszym zaczątkiem tego działu malarstwa, który do świetności doprowadził Jan Matejko.

Nie przeczuł król, że malarz, który obok niego żył, ale jego uznania niewiele posiadał. Jan Norblin, rodem Francuz, który jednak umiał się wsłuchiwać w tętno życia polskiej ziemi i wczuwać w jego objawy, a zarazem znakomicie tę ziemię odtwarzać, da początek rdzennie polskiemu, narodowemu malarstwu.

Założył Stanisław August galerję sztuki. Skupował, gdzie mógł, obrazy i inne dzieła sztuki i wysyłał do Włoch Bacciarellego po zakupy i gdyby nie upadek Polski, stworzyłby piękne muzeum, w którem nie brakowałoby obrazów pierwszorzędnych mistrzów świata, posiadał bowiem nawet dzieła Rembrandta.

Lubił rysunki wybitnych artystów, cenił bardzo grafikę i stworzył piękny zbiór graficzny, który częściowo ocalał. Dbał nawet o kolekcję monet i stworzył dział numizmatyczny i medalierstwa, zbierał kamee i gemmy i miał mistrza w tym dziale na swych usługach, Regulskiego.

Gdyby te wszystkie wysiłki Stanisława Augusta, z małemi wyjątkami, nie przepadły, Polska nie byłaby, jak dotąd jest, mimo wielkiej przeszłości, najuboższa w muzea wśród krajów, które w szerzeniu kultury odegrały wielką rolę. A gdyby zaś te skarby sztuki, które nagromadzili królowie polscy, a zwłaszcza Zygmunt August i Stanisław August, zachować się dało, jak to z artystyczną spuścizną swych królów mogli uczynić Włosi, Francuzi, Anglicy, Niemcy, Hiszpanie, Polska miałaby dziś także wspaniałe muzea.

Spłacony dług.

Dziwny był ten Jędrek. Twarz prawie chłopięca, siwe oczy i blond włosy. Uśmiech na jego rumianem obliczu gościem był, a gdy zjawił się ten gość rzadki, powlekał oblicze raczej smętkiem niż wesołością. Coś gnębić musiało Jędrka, coś boleć, bo niesposób przecież ciągle być zamyślonym. Ha, to trudno. Rozmaici są ludzie na świecie, to się i Jędrkowi nie dziwić.

Ale gdyby tylko ten smętek. A przecież cały bataljon wiedział, że gdzie jaki patrol, jakieś coś, co śmiercią na milę pachniało, ten warjat już gotów. Naprzypinali mu medali, różności, jeszcze w legjonach, że inny cieszyłby się i nos do góry zadzierał, a ten nie.

Hej, Jędrek! Czy nie dziewucha jaka wlazła ci w serce i tęsknota za nią trzewia przewraca? Ale przecież pisałby coś kiedyś. I listy skądśby szły. A tu nic.

Trudno, Nie odgadnąć nam, bracie, twej tajemnicy, aż ją sam wyjawisz. Ale kiedy? Szósty rok już idzie, a tyś zawsze ten sam.

Noc była ciepła i przytulna, jak uścisk matki, jak pieszczota kochanki. W przestworzach toczyło się wolno kolisko księżyca, tysiące zaś gwiazd mrugało srebrnemi oczyma do swego łysego, jowjalnego towarzysza... gdy... przyszedł rozkaz;

— Pół kompanji na patrol. Każdy żołnierz weźmie tyle a tyle naboi i tyle a tyle granatów ręcznych.

A komendant kompanji zaklął jak szewc i objaśnił;

— Coś tam bolszewicy myszkują, musimy chłopcy spenetrować.

Front bojowy był porwany, jak stare sznurowadło. Tu placówka, tam bagno, tu lasy i znów kawałek linji. W poświacie nocy letniej płynęli wolniutko. Zapachy szły do nich żywiczne, to znów lustrzana toń jeziorka wpatrzyła się w nich okiem jasnem. A oni szli nieczuli na to piękne cudne a tylko w myślach swych; — śmierć albo im, albo nam. I dwadzieścia pięć par oczu przeniknąć usiłowało najbliższe krze gęstwiny.

Daleko już uszli, a jeszcze nic. Ni żywego ducha. Komendant skłął w myśli lotnika, który z wywiadem nad wieczorem przyleciał.

— Może karany się gziły, a ten zaraz myślał, że widzi bolszewików. Szlagby trafił takie życie.

Może i masz rację, mości komendancie, a może i nie...

Zegarek wskazywał północ. Półtorej godziny marszu było za nimi.

Cóż to za krzyki idą z przodu? I to tak zupełnie nieostrożne, obcesowe?

— Hej, wiara! Połowa za mną skrajem lasu, druga połowa nad brzegiem, skrajem gęstwiny. Na gwizd; Hurra! i na bagnety. —

Polana została w środku, a oni ją opasali pierścieniem. Widzą już. Stoją trzy dalekonośne działa o lufach długich. Czwarte taszczą na pozycję, stądeten gwar a krzyk. I jest ich ze czterdziestu luda.

Marzyły smukłe jodły, całując się w górze koronami z zielonego igliwia, zdala przenikał rechot żabi... gdy...

Świst! Świst ostry, a krótki.

Bolszewikom zdawało się, że jakaś srebrna błyskawica mignęła. A to tylko księżyc w stali bagnetów przeglądał się.

— Hurra! Raz krzyknęli i już ich kłują. — Zdajuś!

Niema pardonu. Kto się nie chce bronić, do widzenia z życiem, z rodziną daleką, z tą cudną nocą letnią. Lecz nadbiegają inni. Gdzieś coś strzeliło, tu szczęk jakowyś. Bo jak śmierć, to już wszystko jedno.

Zabrali zamki od armat i wsiąkli w marzący znów las. Mech, pokryty suchem igliwiem, głuszył ich szybkie stąpania. Szybkie, choć niosło dwóch Jędrka na splecionych rękach. A Jędrek za szyję ich trzymał i nawet nie jęknął. Choć strzał przewiercił mu brzuch.

Za nimi na szczęście cisza. Bo choć i jaki tabor był gdzie w pobliżu, to albo zwiał, albo nie przejmował się tem, co słyszał. Na froncie i tak frontem przecież strzelają często.

Dosyć, że uszli pół drogi, gdy Jędrek opuścił głowę na ramię jednego z niosących go. A że księżyc odbywał teraz swoją wędrówkę gdzieś z boku, więc i cieni więcej było.

Złożyli na miękkiej ziemi rannego.

— To już nie długo — zadecydował podchorąży sanitarny.

Koło rannego skupiła się brać i patrzą, patrzą w swój los. Tak, dziś on a jutro ja... ty...

Spojrzał Jędrek dookoła.

— Wiem, że umrę, wiem... Lecz spłaciłem dług...

...Wielki dług... Kiedyś... dawno... podczas powstania... mój dziad... chłop z Kieleckiego... zdradził.. powstańców Langiewicza... Moskalom... Dużo ich padło... dużo... W kilka dni... inni powstańcy... — dziad... ka... powiesili... Od tego czasu... wieś..... naszą rodzinę... nazwała... Oh,... jak boli... o Jezu... obwiesiami... I ja... też byłem... ob... wieś..... Teraz zmazałem nasze... winy...

Ciche westchnienie, a potem oddech słaby, bardzo słaby, słabszy, jeszcze słabszy... sła... biuch...ny...

I serce obwiesia bić przestało.

Takiś-to był, ty obwiesiu?

Ze świata katolickiego.

Katolicy w Stanach Zjednoczonych.

Według ogłoszonej niedawno nrzędowej statystyki na rok 1928 ogólna liczba osób, należących do Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, wynosi 19 miljonów 689.049 i jest o 205.753 większa od liczby z roku ubiegłego.

Liczba uczniów i studentów w kolegjach religijnych wynosi dwa miljony 281.837. Kościołów katolickich jest 18.298, księży 25.775, seminarjów duchownych 106. Przygotowuje się w nich do stanu kapłańskiego ponad 15.000 młodych ludzi.